

# Wiadomości Polskie

THE  
POLISH NEWS  
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE  
TYGODNIK

### W NUMERZE:

Paweł Moskwa: Spotkanie ze świtem. — Antoni Bogusławski: Nad bylejaką trawą. — Antoni Sobanski: Trzy kraje lat dziecińczych. — Zygmunta Nowakowski: Febris polonica czyli państwo Pawłostwo Superowie. — Adam Pragier: Pokój brytyjski. — Rudolf Rathaus: Republikańskie i demokraci. Korespondencja własna „Wiadomości Polskich”. — Zbigniew Grabowski. Ksawery Pruszyński: Pamiętniki Aleksandry Piłsudskiej. — Krzysztof Nienaski: Komiec „człowieka gospodarczego”. — Politicus: Czarna wiosna. — Korespondencja. — Alfa: Rozmaitości. — Od redakcji. — Skarbnica Polska. — Ryszard Berwiński: Powrót do pielnicy. — Powitanie. — Na przesileniu dnia z nocą. — Adam Szymański: Sruł z Lubartowa. — Kazimierz Tetmajer: Na Anioł Pański.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA  
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1  
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

### PRENUMERATA kwartalnie

w Anglii .. .. . 6s. 6d.  
w innych krajach .. .. . \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:  
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

PAWEŁ MOSKWA

## Spotkanie ze świtem

*W jakiś wieczór nieważny, w jakiejś wielkiej sali,  
W mieście, co dziś rzucone, jutro — zapomniesz,  
Z parą miłych staruszków — dwa stoliki dalej —  
Nieznaną i cicha siedziła dziewczyna.  
A na tej sali złotej, dymnej i lustrzanej,  
Na stolikach, w szkłe taniem — malowały tulipany.*

*I jeden z nich zagładat we włosy dziewczynie,  
Poufale, natrętnie — aż nieprzyzwoicie,  
Jak ktoś chory śmiertelnie, co czując ze ginie,  
W ostatnim umiesieniu zanurza się w życie.  
Prawie że ją całował, gdy schylała głowę,  
A włosy były złote, a płatki — różowe...*

*Nagle — nie wiem dlaczego — znikły wszystkie twarze  
I w zubożeniu światła przygasła muzyka,  
A w zatrzymanym czasie — jak w czwartym wymiarze —  
Zawisłem przerażony wszystkim co mi znika...  
Zostałem sam zupełnie. I widziałem polem  
Już tylko tę różowość walczącą ze złołem...*

*A gdy przymknąłem oczy — balamutnym trelam  
Nabrzmiły światogł plectwa buchnął mi do głowy:  
To w mgłach wiszących sennie nad dalekim Helem  
W złotej ulwie słońca — ginał świt różowy...  
Odechnąłem szczęśliwym, nadabłychem rankiem,  
Zapachem wodorostów i polnym rumiankiem...*

*Lecz oto świt wrześniejący: — gdy gwiazdy pobłady,  
Dzień się zwiastował, w chłodnym zaccajony brasku,  
Na szarem zlocie rzyńska mgły różane kładły  
Ostatnie pocałunki, topniejąc wśród blasków.  
Wtedy wyczarowałem z mokrych rosą splotów  
Umajone świateczkie — kształty samolotu...*

*I było wielkie święto, gdy ostatnie dreszcze  
Przepadły w oderwanej od ziemi maszynie,  
Płynąc nad złotą ściernią, mogłem w górze jeszcze  
Ujrzeć różowość światu na chwilę nim zginie —  
Wrzeszcze pierzcha niepewność... Wtedy już spokojny,  
Dziękuję ci — Matko...*

*Wiem, że czeka mnie kiedyś inne przebudzenie,  
Wiedną mi dzisiaj swity, niby chore kwiaty,  
Już cały smutny bukiet... Ale go zamienię  
Na dzień jasny i w nowe kolory bogaty.  
Na poranek, gdy będą róż ponosowe płatki  
Całować razem ze mną — białe włosy — Matki...*

*O chwilo, pulsująca serdecznym przeżyciem!  
Zostań ze mną w ten wieczór oddany tęsknocie,  
Niech się tobą napoje, wpatrzony w odbicie  
Dni pogubionych w drodze... Jutro, w rannym locie  
Nowy świt szachownicę rozpali na szczydle,  
Wzleć mu na spotkanie — somewhere in England...*

*Niesforny tulipanie, spotkany w wieczorze,  
W nieopatrnej pieszczocie muskający głowę  
Jakiejś obcej dziewczyny tu, nad obcem morzem,  
Gdybyś wiedział, żeś przyniósł mi godzinę nowe  
Długiej nocy bezsennej i myśli która trwa —  
— Nie byłbyś taki płochy... Ale ci — dziękuję...*

PAWEŁ MOSKWA.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

## Nad bylejaką trawą

*Nad bylejaką trawą, nad bezimiennym zieletem  
tak nieraz się zatrzymam, jakby nad przyjacielenem,  
i ta zielona trawa, i drobna ta roślina  
coś mi przed oczy stawia, coś budzi, przypomina...*

*Ach, jakże to bywało, gdyś leżał w bujnej trawie,  
a zaby rechotały, kumkały w grząskim stawie —  
i szedł daleki pógłos w płomienie przedwieczera,  
podobny w wielostroju wzdychanem do pacierza,  
a może do sciszonej, kończącej się litanii,  
przez łąki i przez stawy do wtóru wyszeptanej!...*

*Pachniały macierzanki, rosiste smółki, mięta...  
Tak to daleko, dawno, a tak się to pamięta!  
I owo pół sciszanie, omytych w kropłach rosy,  
i miedze, gdzie po rękach smagały twarde kłosy,  
i nawet zapach kurzu, co, wzbity w tuman noża,  
przenikał niewidocznie do nozdrzy ponad drogą,  
i miękki turkot woźu, mknącego po robocie,  
i przelaz do ogrodu, i ścieżkę przez zaplacie.*

*A wkońcu lipy stare, namioty kopulaste,  
pachnące w dni lipcowe miodową drobny kwiatem,  
w południe rozbrzeczane złotoczystych pszczoł kapela,  
zasypanie wieczór uliczki szara ściela,  
wśród owocowych drzewek, bielonych — ze splendoru  
podobne pra-prababkom, dziecięcym tego dworu.*

*Ten dwór, te łąki, lipy — to wszystko tak daleko!  
Katalami są nam lata: co mogą, to wysieka,  
a mordercami wspomnień — codzienne wydarzenia:  
gdzie które tylko może, z pamięci coś wyplenia.*

*A jednak ja w to wierzę i czuję całą duszą,  
że mnie te kwiaty wonie ogarnąć jeszcze muszą,  
że zanim księżycowym promieniem w ciemność trysne,  
to Polską poodycham, to Polską się zachłystnę —  
i może Bóg pozwoli mi pośród mgły wieczornej  
wziąć jeden akord cichy, nieśmiały i pokorny,  
co choćby znikł w harmonii pachnącej nocy letniej,  
głos mego serca wplecie w melodje Bożej fletni.*

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

ANTONI SOBANSKI

## TRZY KRAJE LAT DZIECINNYCH

Umieszczamy niżej rozdział z „Kraju lat dziecińczych”, ostatnią pracę jaką napisał zmarły dn. 13 kwietnia w Londynie s.p. Antoni Sobanski. Czytelnicy „Wiadomości Literackich” przypominają sobie napewno dwa cykle jego świetnych reportaży Niemiec hitlerowskich. Dajemy niżej na s. 4—5 przemówienie Antoniego Slonimskiego, wygłoszone dn. 18 b.m. na ementarzu londyńskim, w imieniu P.E.N. Clubu polskiego.

Któryż jest tym właściwym? Miałem ich trzy: Ukrainę, Warszawę i Paryż. Pokolei jeden po drugim zapadły się w nicłość. Bywało rzeczą zwyczajną, że człowiek, zmuszony przez okoliczności, porzucił scenę swego dzieciństwa i tylko tęsknym wzrokiem od czasu do czasu mógł spoglądać z paradyżu wieku dojrzałego na inne dzieci, w tych samych, które on niegdyś grywał rolach, wśród tych samych, tylko na dorosłe oko znacznie mniejszych i mniej wspaniałych dekoracjach. Ale rzadko który z tych wyrażonych aktorów własnego dzieciństwa był na tyle biedny, by nie móc kupić sobie biletu na „jaskółkę”, skąd widać przeszłość z lotu smutnego ptaka.

Tu zresztą poczuwam się do obowiązku dygresji. Wspomnienia, przeszłość, lezka — to wszystko dobre, póki zbiorowe życie społeczeństwa idzie naprzód nie tylko chronologicznie, ale także w sensie dodatnim. Wówczas odwracanie oczu wstecz, to zbyt dopuszczalny dla jednostek silnych i zdrowych; to może nawet pozytywny odpoczynek od właściwego obowiązku każdego szanującego się człowieka przed siebie. Fakt więc, że zdarza się, jak w moim wypadku, iż scena lat dziecińczych zapadła się w nicłość — nie powinien mnie martwić; fakt, że wobec pustki, jaka za mną zda się posuwać, mogę całą moją uwagę zeskrobać na tem co leży przede mną — powinien mnie cieszyć. Tylko tyle, że istnieje poza powyższymi faktami jeszcze i ten, iż człowiek, nawet młodszy, nie jest istotą logiczną. Ja przeto płaczę, że nie mam za czem się oglądać; czasem zazdroścę wprost żonie Lota, zamienionej na zawsze w ludzi, mądry, słony pomnik tęsknoty za wspomnieniem.

Czemu więc piszę w tym zbiorowym tomie wspomnień, które jeżeli ujrzą światło dzienne i półki księgarskie, rozkłiwiają może, „rozmaimla” zupełnie niepotrzebnie jakiegoś dzielnego lotnika polskiego w Anglii? Może po przeczytaniu kilku rozdziałów, i dziewczyna, którą ma spotkać wiozorem, wyda mu się nie taka jaka być powinna i jaka mu się wydawała ostatnim razem kiedy się widzieli, i piwo będzie wyraźnie nie okocimskie, i oleisty, kobiecy gin straci wobec wspomnienia o skrzętej, męskiej wódce. Czemu więc piszę — czy dlatego, że jestem grafomanem, czy też dlatego, że jestem niedoszłym zbieraczem i że w epoce, kiedy wszystko ginie, należy kolekcjonować i zachowywać próbki wszystkiego — nawet tej strasznej trucizny, jaką jest nostalgia?

O czem tu pisać na londyńskim bruku? Tyle jest tematów, tyle obrazów, tyle zapachów i dźwięków. Pamięć — cóż to za zmysłowa istota. Erotomanowi trzeba spódnicy, półeczoch, wysokiego obcasa, a jej wystarczy pół sekundy zapachu kopciucha szwajcarskiego świecy, by odtworzyła dla niego „ubieralny” mojej Babczi: Babcia siedzi w peignoirze przed „gotownią”, a panna Leokadja ją czesze. Znacznie później dowiedziałem się że panna Leokadja tak ją ciągnęła za włosy, iż Babcia płakała, ale bała się poskarżyć, a jeszcze w dwadzieścia lat potem okazało się, że panna Leokadja, sekretnica jak się patrzy, miała właściwie złote serce, tylko Babcia mogła i anioła doprowadzić do pasji. Przez ten sam „ubieralny”, ale pociemku, szło się z dużego salonu do „drzewka” w bibliotece, szło się z bijącym sercem. Wówczas właśnie pachniało zgaszoną świecą. Za „ubieralny” szło się korytarzem koło pokoi Terenowej. Teren był pomylonym Quasi-modo, genjuszem od mechaniki, szukającym stale skarbow, i osobistym służącym mego Ojca, który jednakże nigdy w podróz Terenia nie zabierał. Teren nawet nigdy do stołu nie podawał. Była to istota wybitnie kameralna. Terenowa — choć prawosławna — była damą kapelusową. Tylko Babcia nazywała ją poprostu Kasią. Dla mojej Matki była ona — Tereniowa, a dla nas — panią Tereniową. Zamłodu podobno prowadziła się bardzo swobodnie, ale o tych rzeczach w domu się nie mówiło. Zato — w stajni o niczem innym. Stajnia — cóż to za szkoła zmysłowości. Jeżeli Wells wierzył się kiedyś, że pierwsze jego myśli erotyczne wywołały widoki pierśi Brytanji na miedzianku angielskim, to jakże bezpośrednie były moje natchnienia, kiedy po raz pierwszy przycisnąłem twarz

do pyska końskiego. Stajni zawdzięczam jeżeli nie wszystko, to wiele. Tam stałem się istotą wybitnie zmysłową i nigdy dotąd tego nie pożałowałem. Może zresztą nie

nego niż lud polski. Stosunek był zresztą ten sam co w Malopolsce Wschodniej, gdzie każdy członek P.P.S., gdy był urzędnikiem państwa polskiego, patrzył zgóry,



Czytelnik polski zna wystąpienia publicystyczne Antoniego Sobanskiego i przywykł oceniać ich szlachetność i bezkompromisową odwagę. Był obrońcą każdej sprawy dobrej, przychodził z pomocą prawdzie, bronił krzywdzonych. Chrześcijaństwo prawdziwe było najistotniejszą treścią Jego życia, bo najistotniejszą treścią Jego serca była miłość bliźniego i współczucie dla cierpienia. Jako pisarz zdobył znakomitą książką o Niemcach hitlerowskich. „Cynul w Berlinie” był nie tylko reportażem mądrym politycznie. Książka ta łączyła bystrość i wnikliwość obserwacji z głębokim umiłowaniem kultury europejskiej. Wśród pisarzy polskich był Sobanski jednym z najbliższych żyjących z piśmiennictwem Francji i Anglii. Wrażliwość artystyczna Sobanskiego odznaczała się niezwykłą wszechstronnością. Znałca wyśmienity prozy, poezji europejskiej, plastyki i architektury, okazywał jednocześnie najgłębsze zrozumienie zagadnień politycznych, etycznych i społecznych. Suche wyliczenie jego zasług literackich, publicystycznych, propagandowych, na terenie prasy i w radju brytyjskim nie da przecież obrazu jego postaci. Był on dla nas, pisarzy, artystów, przyjaciół, czemś więcej, czemś nieuchwytnym a niezastąpionym. Był dla nas miarą i sumieniem. Będziemy odczuwać Jego brak po każdym nowym napisanym wierszu, rysunku czy książce. Zabraknie Go nam w strapieniu i zabrałnie w szczęściu. Chwilie ciężkie, trudniejsze się nam staną a radość utraci wiele ze swych blasków. Nie zapomnimy Go nigdy.

była to stajnia ale Ukraina. Obecnie, gdy o niej myślę i gdy ją sobie przypominam — rozumiem że zmysłowość tego kraju nie ma sobie równej w Europie. Trzeba przejechać Atlantyk, aby w Stanach Zjednoczonych, a szczególnie nad oceanem Spokojnym, natrafić na podobne jej natężenie. Ale gdzieśmy odeszli od pani Tereniowej! Pod jej wyłącznym władaniem znajdowała się pościel pałacowa. Przy korytarzu, który prowadził z „ubieralnego” Babczi do schodów koło biblioteki, miała dwa pokoje: jeden jej własny, typowy pokój skrzętej klucznicy, z masą rubensowskich poduszek na łóżku oraz z ikoną i lampką oliwną w rogu, a drugi otoczony pakami kolosalnych wymiarów. Myślałbyś, sądząc z ich budowy, że gdy otworzysz wieko, znajdziesz tam mąkę, krupy i cukier — a tymczasem wszystkie one wypełnione były po brzegi poduszkami. „Wspyy” bywały różowe, czerwone i niebieskie. Czerwone — dla służby, niebieskie (najwykwintniejsze) — dla Mamy, ale różowe zawsze pozostawały najpiękniejsze. Chciałbym mieć chłodny salon na Jamajce, którego ściany i meble byłyby pokryte materjałem na różowe wspyy.

Ale o Ukrainie nie będę chyba pisał. Białolaża za nią tęsknota istot miernych, tęskniących właściwie za dobrobytem i władzą, które były ich udziałem w tym kraju miodem, mlekiem i słońcem płynącym, niemal ośmieszają, nawet w moich oczach, moje rodzime Podole. W słowach wyrażających tę tęsknotę potrafię uchwytać dźwięk arogancji mieszczaucha z Kongresówki, który czuł się tam panem stworzenia, żywiąc kretyjską pogardę dla ludu ukraińskiego, tak niesłychanie bardziej inteligentnego i uzdolnio-

jeżeli nie wprost pogardliwie, na lud ruski.

Ja tęsknię jedynie za wielkimi, rytmicznymi falami czarnoziemu, których jest tyle i są tak rozległe, że aż dech rozkosznie zapiera. Tęsknię za suchymi rozpadlinami jaspieru, gdzie zielono-szare, aromatyczne, zakurzone ziola, barwą i zapachem przywodzą na myśl Grecję. Tęsknię za posuchą i skwarem, za kurzem, który stoi nad traktem jak gigantyczna gasienica; za zachodzącym słońcem, widzianem przez przyrzątek tego kurzu. Tęsknię za południową orientacją całego tego kraju; za nielicznymi rzekami, podążającymi do napyły już klasycznego morza Czarnego; za wyraźnie pogańskim klasycyzmem ludzi, ziemi i nieba. Tęsknię na wiatrem od morza Śródziemnego i za jego zmysłowością, która wykłasyła mój wiek dojrzwania. Ale jestem na tyle szczęśliwszy od innych Polaków tęskniących za Ukrainą, że ich „futory”, czy „klucze”, ich dwory i pałace zginęły bezpowrotnie, gdy tymczasem klasycyzmu, śródziemnomorskości, zapachu, klimatu i zmysłowości kraju nie potrafią zniszczyć nawet Sowiety i ich władcy, ci wielcy mistrzowie burzenia i marnowania.

Moja Ukraina żyje, i może nawet dane mi będzie ją kiedy ujrzeć, a wiem że dla mnie pozostanie ona niezmieniona. Dla ogromnej jednak większości Polaków — ich Ukraina zapadła się w nicłość na zawsze. Co z niej pozostało, to głód dobrobytu, przydzwiany w romantyczne kiecki kreacji Wincentego Pola. Drugim krajem mych lat dziecińczych, to Paryż. Teraz, jesienią roku 1940, niesposób o nim pisać. Ukraina, Warszawa — zginęły dla mnie jak gina istoty nam drogą na polu chwały lub zwalone chorobą niewsty-

dliwą. Lecz Paryż, tak namiętnie kochany, gdyż tyle lat straciłem na niekochaniu go, tak drażniący, tak powierzchownie i po ignorancu lubiany przez każdą panią Dulską — zdradził mnie, zdradził panią Dulską, w której, jak wojna wykazała, nieraz kochał się serce Chrzanzowskiej z Trembowlu; zdradził wszystkich tych, lepszych i ważniejszych dla świata ode mnie, których serca i nadzieje leżą rozbite na schodach prowadzących do metra, jak śpiące ciała paryskich kłozardów z bulwaru Rochechouart. Czy można znaleźć jeszcze pod niecałkiem opadłymi liściami platanów nad Sekwaną taki zakątek, skądby nie było widać hańby, tylko mosty i bieg rzeki? Ale z jednego mostu widać, na innym stoi pomnik świętej Genowefy. Od dzieciństwa przeszłości niemasz ucieczki.

Nie lud francuski zdradził; zbyt wczesnie nawet sądzić przywódców. A chociażby lud ten osądził surowo, należy mu odrazu przebaczyć, gdyż nie wolno nam przestać go kochać, nie wolno przestać naśladować tego co w nim jest dodatnio ludzkie. Gdyż, o ile wady wszystkich plemion świata są zawsze ludzkie, o tyle zalety, naprzykład polskie, nie są zawsze ludzkie. Są one czasem tak górne, że nadają się chyba na sądny dzień, rozkwitają tylko w okresach kataklizmów, ale niema dla nich ani miejsca, ani odpowiedniego klimatu między poniedziałkiem a piątkiem przeciętnej tygodnia. Francja, jako mimowolna nauczycielka, jako przypadkowy, niedoskonały przykład i wzór — żyć będzie. Paryż jednak zadal nam ranę chyba nie do zagojenia.

Jeżeli chodzić po Paryżu roku 1939, mógłem wciąż widzieć poza obrazami, odbijającymi się na siatkówce mego oka, obrazy z mojego dzieciństwa, które mi obwieszony był, jak poczekalnia polskiego dentystry, Place St. Augustin, a poza niemi jeszcze potrafiłem rozróżnić wyraźnie, na planie trzecim, Paryż Goncourtoów, Paryż drzeworytów z „Illustration” roku 1871 — to czyż, jeżeli cokolwiek kiedykolwiek powróci do jakiejkolwiek normy, będę mógł chodzić Polami Elizejskimi, nie myśląc o tem że na tarasach tych kawiarni paryżanie siedzieli spokojnie obok oficerów niemieckich? Wiem, że nie innego robić nie mogli, ale myśl ta boli. Czy fakt że domy na Rue de Provence miały świetny sezon pod okupacją niemiecką, nie zniszczy legendy o „mes pettes allies”? Czy stojąc, na dnie czeluści, jaką jest Rue Bonaïjais, gdzie mógł wielkiej rewolucji zda się zroźnięty z domami, jak tynk ich murów gdzie pod mansardą siódmego piętra jakaś Mimi Pinson z pewnością uszyła pierwszą czapkę frygijską; gdzie zdają się stale dolatywać z któregoś z otwartych okien patetyczne, podniecające akordy „Marsyljanki”; gdzie, gdy otwierają się drzwi bistra, zdziwiony jesteś, że nie wylewa się na ulicę tłum pijanych sans-culotte’ów — czy znalazłszy się znowu kiedyś na tej ulicy, będę mógł zapomnieć, że Hitler swobodnie przebywał w tem mieście? Czyż wielka rewolucja byłaby tylko na miarę Ludwika XVI? Czy gniew ludu, jak antysemitizm, przemawia tylko tam, gdzie pewien jest swej bezkarności lud zwycięstwa?

O tym Paryżu mych lat chłopczyńskich, o tym Paryżu sprzed chwały roku 1918 i sprzed hańby — nie piszmy teraz. Boli każda myśl o nim, każdy obraz przeszłości zda się być dzisiaj widziany jakby w zniekształcającym zwierciadle, zda się być nieprawdzy, gdyż terażniejszość zadala mu tak bolesny kłam. Paryż nas zdradził. Daj nam Boże, byśmy kiedyś o tem zapomnieć mogli. Dla nas jest to stokroć ważniejsze niż dla Paryża.

A więc Warszawa. Wrogie było do niej nastawienie dziecka z kresowego pałacu. Pogarda moja dla mieszczańskij w naszym mniemaniu Kongresówki rozciągała się nawet na florę; i tak wraz z mojem rodefizmem paskalskim ze śmiechem na widok niepodrzytych podwarszawskich lasów — tak subtylnych w porównaniu z podolskimi „ridkocubami”, i bezlitośnie natrzasaliśmy się z ludzi, którzy wyjeżdżali na „letniaki” do Wawra i myśleli, że to las. W Warszawie wszystko drażniło. Przedewszystkiem fakt, że Warszawa zmuszała nas opuszczać Podole; ale pozatem panowała tu atmosfera niepokoju i egzaltacji, dotychczas znana mi tylko z obcowania z korepetytorami i nauczycielkami, a którą tu, widocznie, wytworzyli wszyscy. Trzeba powiedzieć, że źle wybrałem epokę mego dzieciennego zetknięcia z Warszawą, gdyż był to okres wojny japońskiej i czasy t. zw. „wolnościowców”.

Wychowany byłem w rodzinie nastrojonej bardzo patriotycznie, ale Bogu dzięki, choć robiono co należy, prawie wcale o tem nie mówiono. Moskali nie wpuszczało się do domu, ziemi „nie-Polakowi” się nie sprzedawało, z wynarodawianiem prowa-





